

SPRAWA

DWUTYGODNIK POLSKIEGO INSTYTUTU: "MIECZ DUCHA"

ADRES REDAKCJI: 27 GROSVENOR STREET, LONDON, W.1

Telefon: MAY 2928

Rok II No. 23

NIEDZIELA 28 LISTOPADA 1943

Cena gd.

MGR. ALBAN ATKINS, V.G.

JEDYNE PODSTAWY POKOJU

DOBRE TO JEST, ZAPRAWDE, wśród okropności wojny, mieć i czas i sposobność wysłuchania Mszy Świętej. Jeszcze, na szczęście, nie doszło u nas do tego, by pozbawiono nas naszych swobód religijnych. Dziękujmy za to Bogu, bezpośrednio za Jego Opatrzność, pośrednio zaś za odwagę i męstwo naszych żołnierzy, marynarzy i lotników, a także armij narodów sprzymierzonych, walczących przy naszym boku.

Lecz ta myśl o swobodzie religijnej u nas uprzytomnia nam te straszliwe warunki, w jakich znajduje się naród katolicki, tutaj w tej chwili — wśród obecnych na tym nabożeństwie — uosobiony przez Głowę swego Państwa, Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Korzystamy też z tej okazji, by ponownie nasze modlitwy i umocnić się w duchu lojalności, jako że wiąże nas wiara i praktyka naszej wspólnej, świętej religii. I pierwsze miejsce wśród wszystkich naszych prośb, składanych przed Tronem Najwyższego, niech ma modlitwa, by ukochana Polska wkrótce już wolna była od strasznych mąk, które znosi.

Obecny Ojciec Święty, i czcigodny Jego Poprzednik wielokrotnie wskazywali na przyczyny, które ściągnęły na świat tę straszną zarazę i zalecali środki, by ją leczyć. Uczyli oni, jak położyć kres klęsce i jak dla wszystkich zapewnić trwały pokój. Ale to, co rzekł Pius XII, jest w istocie swej tym samym całkiem, co było zawsze głoszone przez Kościół Boży, już od lat nieomal dwu tysięcy. Istotną treścią, kluczowym sformulowaniem warunku zabezpieczenia się od wojen, jest to, iż "pokój prawdziwy oparty jest na ładzie i jest owocem sprawiedliwości i miłości." Nie będzie też prawdziwego pokoju na ziemi (chyba że w sercach ludzi dobrej woli, gdzie jest on zawsze), dopóki proste, jasne znaczenie tych wyrazów nie będzie rozumiane i stosowane: miłość, sprawiedliwość, porządek.

Sprawiedliwość jest niezbędna. Dopóki prawa i przywileje sędziane są gwałcone, dopóty też sieje się nasiona przyszłych wojen. Dopóki jest w świecie grupa ludzi, dość silnych i dość występnych, by proklamować własne samolubstwo, sprawiedliwość dalej jest naruszona i wojny dalej możliwe. Sprawiedliwość, czyli uznanie właściwe praw wszystkich narodów, i grup społecznych, musi być przywrócona i zabezpieczona, jako pierwszy warunek trwałego pokoju. I niewątpliwie każdy z nas ma to w sercu. By modlić się, wierzyć i działać, ażeby Naród Polski był pierwszy wśród odbudowanych, w sprawiedliwym poszanowaniu swej całości, i w pełni dawnej dostojności i chwały pomiędzy narodami świata.

Lecz nawet człowiek sprawiedliwy może być równocześnie twardy. Życie zbiorowe, ze związaną z nim nierównością i nie dającymi się uniknąć nędzami, wymaga czegoś więcej, niż tylko sprawiedliwości: konieczna jest, mianowicie, miłość. Musi istnieć jakaś siła moralna, budząca dobrą wolę w sercach ludzkich, skłaniająca do porzucenia prawa dżungli w stosunkach między państwami, prawa pazurów i pięści i walki o byt, do której wszyscy, w chwili obecnej, niestety, zostaliśmy zmuszeni. Musimy zmienić psychikę naszą w dniach pokoju i mieć motyw wyższy niż chciwość i t. zw. praktyczność, musimy ludom wszystkich wiar, ras i miejsc zamieszkania dać uczciwą sposobność ułożenia ich życia, zgodnie z ich pokojową tradycją i obyczajem i ich prawdziwym narodowym charakterem. Brak miłości chrześcijańskiej, wraz z oczywistym brakiem rozumu u t. zw. rządców świata stanowi źródło najistotniejsze dzisiejszego konfliktu wszechświatowego. Ale zarówno sprawiedliwość jak miłość muszą być częścią porządku moralnego, innymi słowy muszą być one istotnie cnotami moralnymi, których

praktykowanie znajduje jakieś echo u Stwórcy na Niebiosach. Muszą, conajmniej, być ludzkimi cnotami, uświęconymi Łaską Boga, więc w pewnej mierze związanymi z Jego chwałą, jeśli istotnie mają mieć moc dostateczną, by przewyciężyć napór ludzkich błędów, i zwątpień i po prostu słabości.

Bóg Wszchemogący, Stwórca nas wszystkich, źródło i cel, do którego dążymy, musi być dla nas natchnieniem ostatecznym dla właściwego postępowania wobec bliźnich. Owocem sprawiedliwości i miłości jest pokój, o ile cnoty te służą chwale Bożej. Pokój określa się jako porządek w spokoju. Nie trzeba więc nowych międzynarodowych związków, by go zapewnić. My już jesteśmy społecznością międzynarodową, jesteśmy

z tego samego plemienia. Z Bożego rozkazu wszyscy jesteśmy narówni powołani do jednego zadania, wszyscy jednakowo mamy wspólny cel: chwałę Boga, i własną wieczną, z Niego wypływającą, szczęśliwość. Wszyscy te same mamy prawa i obowiązki, bowiem nie wypływają one z tożsactwa, kultury czy historii, ale z godności naszej jako istot ludzkich, dzieci Boga, stworzonych na Jego obraz i podobieństwo. Tu tkwi jedyne nasze istotne uprawnienie, by być wielkimi, zdrowymi, szczęśliwymi. Tu jest jedyne trwałe nasze prawo do bytu, płynące z tego chwalebnego dziedzictwa że wszyscy wskutek naszego człowieczeństwa jesteśmy dziećmi swego Stwórcy. Nie ma powodu szukać usprawiedliwienia dla potrzeby międzynarodowego porządku,

bowiem jesteśmy już, z Bożego nakazu, jedną rodziną, żyjącą we wspólnocie. Musimy nauczyć się szanować wzajemnie swoje prawa, przywileje i obowiązki, i tylko gdy narody zachowają ład sprawiedliwy między sobą, ten ład z kolei może zachować ich istnienie: pokój jest porządkiem w spokoju.

Jest to więc, jednym słowem, zagadnienie moralne, sprawa właściwej dyspozycji umysłowej. Nie ma na świecie narodów-państw, a siła nie koniecznie jest słuszością. Słuszość jest moralnym pojęciem, nie zaś wyrazem brutalnej siły, chyba że całe życie międzynarodowe chcemy zmniejszyć na poziom zwierzęcy. Stąd też koniecznie jest kodeks moralny i w dziedzinie spraw międzynarodowych, tak samo całkiem jak jest on niezbędny

w życiu narodowym i jednostkowym. I kodeks ów nie może być inny niż ten, nadany nam przez Jezusa Chrystusa, założyciela religii chrześcijańskiej, Boskiego naszego Zbawiciela. Twierdzić inaczej jest po prostu szaleństwem, i, zaiste, szaleństwem zbrodniczym: wszak wiemy aż za dobrze iż lekceważenie stałe nauki chrześcijańskiej w stosunkach międzynarodowych, musi spowodować w końcu nową wojnę światową, jeszcze nawet straszliwą niż obecna. Módlmy się więc za cierpiącą Polskę. Módlmy się również za naszych mężów stanu, ażeby Łaska Boża ich oświeciła i dała sercom ich niezbędne męstwo dla wywalczenia pokoju Chrystusowego, a więc pokoju w Królestwie Chrystusowym, którym są serca wszystkich ludzi.

J. A. Ż.

LISTOPAD



Cząbrow w Nowogródzynie. Typowy dwór szlachecki z XVIII wieku, w okolicach opisywanych przez Rzewuskiego.

Z MIESIĄCEM TYM ZŁĄCZONE SĄ DWA spośród najpiękniejszych utworów literatury polskiej. W dziejach naszego narodu, skazanego od 150 lat na walkę o wolność, każde dzieło literackie odegrało rolę o wiele ważniejszą, aniżeli w innych krajach. Nie było ono prawie nigdy poczęte w pojęciu "sztuki dla sztuki" i zawsze, w tych różnorodnych młodościach, jako akord główny, czy też najbardziej znaczący wór powracały rozmyślenia o wspólnym losie i jego tragicznych zawikłaniach. Tworzy to jedną wielką Sagę, opowiadaną przez różnych prozaików i poetów. Dzięki temu, dziś nawet na wygnaniu, Polacy nie tracą związku z ziemią ojczystą. Nie mamy jej pod stopami, nie mamy siedzib, nie mamy domów, walczymy dalej uparcie o to samo, ale mamy coś co trwa dłużej niż zgłiszczą, wygnanie i śmierć, coś co mogłoby nawet przeżyć nasze unicestwienie. Te opowieści wzbudzają w nas kolejno podziw i zadumę, i w każdym doświadczeniach zaczynają świecić przed nami innym i zadziwiającym blaskiem.

"Listopad" Henryka Rzewuskiego, najlepiej dałby się porównać w literaturze angielskiej z Thackeray'a "The History of Henry Esmond." Ma tę wyższość nad przeciętną powieścią historyczną, że autor opisał świeżą i jakby wczorajszą historię i ujął w swoich obrazach wiele zasadniczych cech narodowego charakteru. Co w tej powieści przede wszystkim uderza? To, że obyczaj i strona ludzka, czyli indywidualności i charakteru grały u Polaków daleko większą rolę od zdobyczy materialnych, od solidnej budowy rzeczy ziemskich, tak widocznej u innych narodów. W tym ustroju rolniczym i patriarchalnym zbytek — i to zagraniczny — wydawał się największym wrogiem. Nie było go na zamku największego pana w prowincji, księcia Karola Radziwiłła na Nieświeżu, ani we dworze zamożnego szlachcica, ani wśród licznej rzeszy wolnych obywateli, korzystających, nawet zdala od stolicy, z bardzo bujnych stosunków sąsiedzkich i politycznych. U schyłku XVIII w. istniała na wsi w Polsce, a szczególnie na kresach archaiczna samowy-

starczalność, która ludziom postępu i politykom z wiek.ego świata wydawała się graniczyć z barbarzyństwem.

Cała sztuka Rzewuskiego polega na tym, że ten spartański, żołnierski, głęboko religijny światek, od Stonima i Mińska oddał pendziem równie uroczy, jak jemu przeciwny, Warszawy, wpływów francuskich i oglady klasycznej. Jeden miał w sobie świeżość wielkich lasów i był niewyczerpaną skarbnicą tężyzny i bezinteresowności, a drugi dawał sztukę, elegancję i często światową mądrość. Wyobrazmy sobie, że ten starszy miał barwy szare i spłowiałe, jak dom generała Kunickiego, drugi polysk hattowanycy fraków i złoconych bożeryj, wzorowanych na apartamentach Ludwika XV w Wersalu. Oba te światy, pozornie sprzeczne, a w istocie ciągle z sobą zbratane, tworzą istotę kultury polskiej. Rzewuski wplątał do swojej powieści epizody z konfederacji barskiej około lat 1768, pierwszej walki z Rosją o niepodległość. Pisząc o powstaniu listopadowym autor sugeruje przekonanie, że ten miesiąc nie przynosi szczęścia Polakom.

Dramat Wyspiańskiego dotyczy pierwszej i może cecydującej nocy powstania 29 Listopada 1830 r. Jest to dramat niewyzyskanej możliwości, tej jednej chwili, która gdy minie, nie da się uchwylić z powrotem. Wyspiański miał rodzaj wyobraźni zbliżony do wrażliwości metafizycznej. Świat duchów i zjaw był mu bliższy, niż innym twórcom. Stąd wypływała niezwykła zdolność do tworzenia postaci alegorycznych i ujawniania podświadomych stanów duszy. Ożywił on w ten sposób dogasający świat mitologiczny i splótł historię Troi i bóstw helleńskich z historią Polski i z jej przyrodą. Pierwsza scena przedstawia pusty korytarz szkoły podchorążych, centrum spisku zawiązanego przez młodego Wysockiego i jego uczeni kadetów. Wpada na nią Pallas Atena, a za nią z szumem skrzydeł wlatują Niki, boginki Zwycięstwa, spod Salaminy, spod Maratonu, Nike niedawnej epopei napoleońskiej i ostatnia Nike spod Cheronei, opiekunka żołnierzy zwyciężonej sprawy. Mówi ona:

Siostry!
Krew zwał wicher ostry
i szron bieluchny mży
Laurów nie ma, a róże pomarzały.

W słowach jej dźwięczą dwie nuty, bohaterstwa i żałości, bo widziała "Maciejowice i ległą zakłutą brać." Wola:

Niech giną synowie moi,
Kres hańbie, wstręton, zawiści;

i dalej
Oto po śmierć dążę
obaczę ich znowu we krwi —
a zwracając się do Pallady:

"Pozwalasz mi znowu wstać
poległym łożu ślać."

Równocześnie w ogrodzie Łazienkowskim, tam, gdzie stoi pałac królewski, "siedziba pusta," "Polski ostatniego Augusta dom, stawian Hellenów sztuką," młodzi spiskowcy czekają na sygnał, ażeby wtargnąć do mieszkającego opodal w Belwederze W. Księcia Konstantego.

W tej powieści księżycowej, wśród starych drzew "wicher powiał szumem, — ogród gada," podczas gdy "młodzi bohaterowie" czekają i "przystąpili w bolesnej zadumie": rozgrywa się przed nimi misterium, jak za eleuzyjskich czasów, pożegnania życia ze śmiercią, bogini Demeter i Kory. Jedna odchodzi, druga ją oplakuje i w melodyjnym d. a. o. g. pod światłem księżyca przesuwanego się wśród chmur w jesienną noc, symbolizując one ofiarę pozornie tylko daremną, ziarna wrzuconego do ziemi. Bogini Kora pojawiając się raz jeszcze w innej scenie tego dramatycznego poematu mówi:

Oto wieki ożywią idące
Wieki i lata, co przyjdą
Żyć będą ziaren tych treścią.
Ziemia rodzić będzie
Kęś siew padnie zdrowy
Ludzi zbudzę, rozesłę orędzie
Na żywot — żywot nowy!
Pokoleniom ostatnie czyni
Po ojcach wielkich — wielkie
wskrzyszę syny!

Główną nutą powieści Rzewuskiego, to potrzeba stałości i trwania. Religijność, prostota obyczajów, patriarchalność wydawać się mogą poniekąd "jak krzewy w słomianej uwięzi," jak długa zima w oczekiwaniu wiosny. A jednak przez całe stulecie powracało się zawsze do tych rzeczy przyziemnych i podobne do ziarna wrzuconego do roli, tam właśnie krył się patriotyzm. Stamtąd również wciąż na nowo wyrastała poezja, wedle strofy Wyspiańskiego:

"Po drzewach jakaś arfa gra
i ogród jęczy tłumem mar."

Dramat Wyspiańskiego, to znowu apel do czynu. Przedstawia chwilę entuzjazmu, która, gdyby w porę wyzyskana, osiągnęłaby swój cel. Młody oficer, z wiadomością o powstaniu wpada do mieszkania Lelewela, historyka i polityka. Stary człowiek nie daje się poruszyć:

Nie znajdziesz u mnie Pallady
nie znajdziesz u mnie nadziei.
Przez myśli moich ognisko
cień przemknął się z Cheronei
przetom wylekły — przetom błądy.

Jedną z głównych postaci dramatu Wyspiańskiego jest W. Ks. Konstanty, brat cara Mikojana I-ego, namiestnik jego w Warszawie i dowódca polskiego wojska. Był to człowiek nierównoważony, nieskończenie gwałtowny, który, chociaż żonaty z Polką, w tak ciągłym podejrzeniu miał swoje polskie otoczenie, że posługiwał się szeregiem marnych figur, szpiegów i donosicieli. Nawet wbrew woli grał rolę prowokatora. Nadzieje na porozumienie z Rosją były tak silne u polityków i generałów polskich, że razem z jego rosyjskimi pułkami wypuszczono go na parol i bez bitwy. Nie była to ani pierwsza, ani ostatnia próba ugody. Wszystkie one z kolei nie dawały rezultatów, bo naród polski nie ustąpił nigdy w dążeniu do niepodległości, a u jego przeciwników, czy Rosjan, czy Niemców w końcu brała zawsze górę siła brutalna.

Artykuł poniższy jest tekstem kazania, które Mgr. Alban Atkins, Wikariusz Generalny Archidiecezji Liverpoolskiej, wygłosił dnia 7 listopada r. b. w Pro-katedrze w Liverpoolu, na uroczystym nabożeństwie w obecności Prezydenta Rzplitej Polskiej, p. Władysława Raczkiewicza.

ANTONI PLUTYŃSKI

MARIA I MARTA

(ZE SZKICÓW DO USTROJU)

MIMO SZCZĘKU ORĘŻA, ANI NA chwilę nie milną wśród poważnych pisarzy głosy troski o przyszłość ustroju demokratycznego i reprezentacyjnego w ogóle, i mimo potęgi jaką rozwinęły w tej wojnie demokracje zachodnie, czujemy wszyscy, że reformy i to reformy poważne są konieczne. Nikt nie ośmieli się twierdzić, że przedwojenne rządy Francji czy Wielkiej Brytanii odznaczały się darem przewidywania czy przygotowania na wszelkie ewentualności.

Demokracje zachodnie posiadały wszelkie zasoby potrzebne, aby do światowej wojny zaborczej nie dopuścić, albo tak się przygotować, aby ją znieść w samym początku. Jeżeli nie możemy skonstatować braku w zasobach potęgi, musimy wnioskować, albo że narodem demokratycznym zabrakło wielkich przewodników — a wniosek taki wobec istnienia Rooseveltów i Churchillów byłby sprzeczny z rzeczywistością, albo też, że w samym ustroju i funkcjonowaniu demokracji są błędy sprawiające, że nie ci najwybitniejsi dochodzą do kierownictwa i że jakieś inne, drugorzędne względy, a nie względ pierwszorzędny bezpieczeństwa i dobra ogółu absorbowują energię grup wybranych do czuwania nad tokiem spraw publicznych.

✱

W rozmyślaniach nad przyszłym ustrojem społecznym osobicie z dwu przeze wszystkich źródeł czerpię natchnienia.

Jedno to obserwacja ludzkości w ciężkich zmaganiach wojennych. Kiedy małe zespoły lotnicze uratowały tę wyspę od najazdu, postawiłem na tym miejscu tezę, że niszczenie przez demokrację małych zespołów ludzkich na rzecz państw i wielkich partii, które na szczęście nie było jeszcze ukończoną zjeanoczoną królestwie, grozi dyktaturą aparatu biurokratycznego i że przyszły ustrój społeczny musi odbudować wpływ i szacunek dla ustrojów mniejszych — pomiędzy państwem, a bezsilnym, wobec jego ogromu, obywatelem.

Drugim wieczystym źródłem natchnienia twórczego jest Pismo Święte. Jedno zdanie Genetis "i stworzył Bóg człowieka na obraz i podobieństwo swoje" określa prawa i obowiązki człowieka mocniej i wyżej, niż całe biblioteki prawnicze. Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Stwórcy ma prawo i obowiązek być twórcą, twórcą własnego i swoich dzieci żywota, współtwórcą zespołów mniejszych i dziełom narodu całego, a przez naród ludzkości.

Prawo tworzenia osobicie i zbiorowo, wspólnie z innymi, jest najwyższym i zasadniczym prawem i obowiązkiem człowieka. Taki ustrój jest dobry i tylko taki, który największą ilość obywateli do świadomej pracy tworzenia powołuje i twórczość ich popiera, a nie hamuje. Ustrój, który łamie i koszławi wolę twórczą jednostki i jej charakter, który daje człowiekowi tylko złudzenie tworzenia, każąc mu jak papudze powtarzać cudze myśli i automatycznie wykonywać przepisane przez aparat rządzący czynności, będzie na dalszą metę zawsze ustrojem złym, choćby na krótko przyniósł ogółowi bogactwo czy potęgę, bo zabija w człowieku zdolność tworzenia.

Demokracja od stu kilkudziesięciu lat miele społeczeństwo na piasek, niszcząc mniejsze struktury, a po tym się dziwi, że piasek się sypie lub, że związawszy go cementem policyjnego przymusu dyktatorzy budują z niego forty niewoli dla własnych i cudzych społeczeństw.

✱

Pod wpływem lektury uwag o niebezpieczeństwie dla wolności, groźnym od

strony technokracji, czy zespołów zarządzających życiem gospodarczym, radziłbym tym, którzy negować chcą prawa ludzi do kierowania rządkami, albo których się najlepiej rozumieją, przeczytać uważnie opowieść o Chrystusie u Marii i Marty.

Wszelki opór przeciwko opanowaniu dziedziny gospodarczej narodów przez fachowców do tego przygotowanych studiami i doświadczeniem życiowym, jest wsteczniactwem. Czyż życiem gospodarczym zarządzać mają urzędnicy dla tego, że mają giętkie karki, albo oficerowie z powodu gwiazdek na epoletach?

Jeżeli udział anonimowego kapitału w dyspozycji wielkich przedsięwzięcia świata kurczy się obecnie gwałtownie na rzecz fachowych dyktatorów i nie mniej fachowych zespołów robotniczych, to takie ograniczenie wpływu kapitału na rzecz wiedzy i pracy jest objawem wysoce dodatnim. Usuwa ono nadto groźbę rewolucji społecznej, jak i zarówno ewolucyjnego opanowania życia gospodarczego przez tępy i bezduszny państwowy aparat biurokratyczny.

Rzecz jest w czym innym. Oto dzie-

dzina Marty różni się w domu narodów zachodnich jednostronnie kosztem dziedziny Marii, a cóż przyjdzie ludziom z tego, że posiadają bogactwa świata, jeżeli zagubią swoje dusze? Nie w tym leży niebezpieczeństwo naszej cywilizacji, że sprawa chleba organizowana jest coraz lepiej w światowej skali, ale w tym że sprawa ducha organizowana jest niedostatecznie, że bogactwo się broni mocno, a ideałów o tyle o ile.

Potrzeba ta musi znaleźć swą formę, swój wyraz w przyszłym ustroju społecznym. Dualizm naszego życia indywidualnego zawsze w części duchowego, a w części materialnego winien być zorganizowany społecznie, w formie ustroju dwutorowego, a koroną jego mogłyby być dwie izby przyszłego parlamentu: izba wyższa posiadająca inicjatywę ustawodawczą w dziedzinie ducha, w dziedzinie kultury i wychowania i izba niższa z inicjatywą w sprawach gospodarstwa narodowego.

Aby nasz dom był szczęśliwy Marta współpracować i współzawodniczyć musi z Marią. Gra twórczości duchowej i twórczości gospodarczej, harmonijnie ujęta konstytucją, da nam pełnię życia.

W. S.

WSPOMNIENIE O PRUSIE

BYŁY TO CZASY KTÓRE ZACZEŁY się od tego że musiałem wspinać się na palce aby sięgnąć nosem do dolnej krawędzi okna. Dawne dobre czasy starego Nałęczowa. Wille leniwicki rozsypane na wzgórkach, w dolinach i na krawędziach wąwozów, aleja lipowa przy której stał pomnik św. Michała, reszka dawnej bramy wjazdowej do rezydencji ks. Małachowskich, wielki park i pałac, gmach sanatorium później już wybudowany nad stawem z łódkami i wyspka na stawie z kioskiem orkiestry. Taki obraz Nałęczowa przesunął mi się przed oczami, jak gdyby wyłonił się z mgły nad Tamizą kiedy w życiu emigracji londyńskiej odżyło nazwisko Bolesława Prusa.

Nałęczów moich lat dziecińczych był związany z dwoma największymi bodaj obok Sienkiewicza, nazwiskami prozaików w literaturze polskiej tego okresu — Prusa i Żeromskiego. Choć o stare lipy nałęczowskie obito się więcej swoiście polskich wielkich nazwisk te dwa były niewątpliwie najważniejsze.

Żeromski był raczej legendą. Zwiadało się jego chatę stojącą na krańcu ogrodu Witkiewiczów. Chata stała często pustkami. Czasami mieszkala tam pani Oktawia Żeromska z synem Adasiem, smutnym bohaterem książki p.t. "O Adamie Żeromskim wspomnienie." Kiedyś Adaś przeleżał w tej chacie jakiś czas, chorując jak reszta często — starannie pielęgnowany przez matkę, jak zawsze. To raczej jego drobna sylwetka, miła twarzyczka z czupryną na bok zaczesaną i śliczny francuski akcent ucznia Lycée Montaigne znane były publiczności nałęczowskiej. No i oczywiście nie odstępowała go pani Oktawia, wiecznie zatroskana o zdrowie syna. Gdy mocowaliśmy się kiedyś z Adasiem na trawniku ogrodu Witkiewiczów (nie pamiętam już który z nas był Pytlasińskim a który Zbyszkiem Cyganiewiczem) pani Żeromska pochyliła się nad nami jak sędzia, bynajmniej nie poto aby sprawdzić regularność chwytów, lecz w obawie by Adaś nie nadwyrężył sobie niedawno złamanej ręki. O panu Stefanie Żeromskim mówiło się często, rzadziej go się widywało. Na dźwięk tego nazwiska stare nałęczowianki wstrząsały dreszczem sycząc przez zaciśnięte zęby — socjalista.

Natomiast Bolesław Prus — pan Aleksander Glowacki był realnością Nałęczowa, realnością en chair et os, popularną sylwetką z założonymi na plecach rękami i nieco na bok pochyloną głową. Klaniał mu się z uszanowaniem prawie każdy mieszkaniowiec osady, każdy dziad gdy go dostrzegł głośniej zawodził modlitwy, dygalo przed nim każde chłopskie i nie chłopskie dziecko.

Prus lubił dzieci i chętnie z nimi przebywał. Dzieci lubiły go bardzo. Było może w tej miłości dziecinniej trochę ukrytego, choć niewinnego materializmu. Bawiem po kilku zdaniach rozmowy wysuwała się z kieszeni pana Aleksandra mała kolorowa torebka z cukierkami które Prus nosił prawie zawsze przy sobie. Gdy ich nie miał sensacja była jeszcze większa. Szło się wówczas do handlu win i artykułów kolonialnych Wójcickiego. Pan Wójcicki w braku popytu na wina i artykuły kolonialne utrzymywał za to wielki stok landryneków.

— No panie Wójcicki — mówił Prus

wprowadzając pięcioletniego bębasu — jestem!

Kupiec uśmiechał się pod olbrzymim wąsem i patrzył trochę gapowato.

— No jesteśmy — ciągnął dalej Prus — miał pan przecież do nas interes, chciał nam pan dać pół funta landryneków.

Pół funta! Takiej masy landryneków nie kupowało się nigdy samemu.

Wójcicki operując szuflą w wielkim słoju, teraz już kiwał głową i przrtakiwał i właśnie sobie przypominał, że tak, że istotnie... Ale aktor był z niego kiepski.

— Ehe, panie Glowacki — mówiłem w takich sytuacjach tonem starego lisa — znamy się na tym, to pan tak wszystko ułożył.

Pan Glowacki nie przeczył. Dodawał pojednawczo:

— No, no, dobrze, byle cię tylko bruch nie bolał. Zostaw trochę cukierków dla Hani. A Hania co porabia?

— Uczy się po francusku — wyjaśniałem.

— A ty się nie uczysz?

— Jeszcze nie.

— A czego się uczysz?

— Dodawania.

— To ile będzie dwanaście plus osmaście?

Mój ton starego lisa powracał.

— Takich dużych liczb nie ma w dodawaniu. Można dodać sześć i sześć to będzie dwanaście.

— Aha — dziwił się Prus — no tak, rozumie, ale może jednak?... Po długiej rozmowie i po użyciu przez obie strony najważniejszych argumentów okazało się że można jednak dodać dwanaście do osmaście. Ten poważny ton rozmów był również źródłem sympatii dzieci do Prusa.

Pan Glowacki mieszkał w willi "Pod Matką Boską" przy alei lipowej, prawie naprzeciwko nas. Miał mały osobny murowany domek, który wynajmował od lat.

Gdy w naszym ogrodzie wycel Mars zaszczałek, furka skrzywnica i przed werandą ukazał się pan Glowacki, czulem że nadchodziła dla mnie ciekawa chwila.

— Pani Heleno, niech mi pani pożyczę tego chłopaka na parę godzin. Mamy wiele spraw do omówienia.

Zaczynał się parogodzinny spacer. Pan Glowacki opowiadał wiele ciekawych historii. A ja?... Ja spowiadałem się z grzechów dzieciństwa...

Ale pamiętam pewnego wieczoru Prus był jakiś inny niż zwykle. Z Warszawy na kilka dni przyjechał mój ojciec. Pan Glowacki przyszedł po kolację. Wieczór był pogodny, wyszli obaj do ogrodu i spacerując dookoła klombu rozmawiali. Dochodziły mnie głosy w których wyczuwałem jakiś dziwny ton podniecenia. Systematycznie co kilka minut padało słowo: Rosja. Przypomniałem na werandzie i wsłuchując się długo w rozmowę starałem się zrozumieć o co chodzi. Nie, to było coś trudnego. Wsunąłem głowę do pokoju.

— O czym oni tak dziwnie rozmawiają?

Matka siedziała na fotelu, pruća jakieś szmatki ale tak zawzięcie i tak wymachując ostrym, otwartym szczyrzykiem, że aż mnie to trochę przstraszyło. Na moje pytanie odpowiedziała jakos tępo i jakby trochę do siebie samej.

— O polityce...

Chciałem zapytać co to znaczy polityka

Uwagi

DZIWAŁ

LUBIĘ OD CZASU DO CZASU GO odwiedzić. Na swym poddaszu, w pokoiku małym, zawsze bardzo uprzejmie mnie przyjmuję, częstując siliżanką zaparzoną na przedce herwoaty. Jest przytem niezawodnie człowiekiem o dużej wiedzy, choć, z drugiej strony, istotnie niezwykłym dziwakiem. Przed dwudziestoma laty był — według zdania wszystkich — najlepiej nadającym się kandydatem do objęcia katedry ekonomii politycznej na jednej z najstarszych naszych wszechnic. Miał jednak zwyczaj przykry, który zrażał doń ludzi, że na kongresach i konferencjach naukowych nagle wybuchał śmiechem, gdy uczeni ekonomisci jak najpoważniej wygłaszali swoje teorie...

Bardzo niedawno zastałem go, samotnego, jak po prostu brał się za boki od śmiechu, czytając jakąś pełną wiedzy rozprawę w "Kwartalniku Ekonomicznym."

— Jakże pan sądzi, kiedy skończy się wojna? — zagadnąłem go, aby coś powiedzieć.

Mój rozmówca spowaśniał i rzekł z namysłem:

— Mam nadzieję, że nigdy, a w każdym razie nie pierwej, zanim świat nie wynajdzie sposobu, co częściowo przynajmniej da równowagę gospodarczą, którą teraz wojna jedna zapewnia. Czyż znajdzie się mąż stanu, który obecne

położenie, kiedy każda jednostka ma zajęcie, zamieni z lekkim sercem na kryzys w gospodarce świata i nieuchronne bezrobocie rzesz milionowych?... — Dlaczegoż bezrobocie? — zapytałem nieufnie — Jeżeli tę sumę energii i pracy, którą w chwili obecnej kładą w wojnę, obrócą społeczeństwa na zaspokojenie swych istotnych potrzeb konsumpcyjnych...

W oczach mojego znajomego znów zamigotał błysk jęlgarny, który tak gorszył ludzi szanownych i statecznych:

— Widzi pan — odpowiadał po chwili — to właśnie jest najzupełniej niemożliwe. Bo na to, żeby zaspokoić potrzeby konsumpcyjne wszystkich ludzi, wystarczy praca nie ludzkości całej, lecz jedynie pewnego jej odsetka. Nawet licząc się z faktem, że propagandą i reklamą potrzeby owe sztucznie zostaną zwiększone, ów szybszy puls koniunktury, jak krwi pod wpływem lekarstwa, nigdy nie może stać się zjawiskiem trwałym. Przypuśćmy bowiem, że w końcu każdy człowiek będzie posiadał swoją własną limuzynę... (Co nie jest także pewne, gdyż potrzeby zbytkowe póty istnieją, poki stwarzają wyróżnienie, a gdy każdy ma auto, nie jeden musi spozrzeć, że mniej kłopotu miał z taksówką czy autobusem). Owóż i wtedy nawet, dia wyniany zużytych maszyn, starczy produkcja mniejsza, niż była przedtem, tak, że część pracowników przemysłu samochodowego będzie skazana na prymosowe bezrobocie. I ci ludzie bez pracy, żyjący z zapomogi, zaczną się zwoła na wyzbywać aut, które mieli...

Lecz szczęśliwym wyjątkiem — dolar, patrząc mi w oczy — jest dziedzina przemysłu wojennego. Tu, można rzec, konsumpcja nie zna ograniczeń. Latwo zrozumieć też że na długo przed wojną państwa totalne odkryły ten znakomity środek, zapewniający zatrudnienie wszystkim, bezrobotnym poprzednio obywatelom. Wyblich wojnyświatowej przejście na taką gospodarkę również w obzvie "wielkich demokracji", były już w gruncie rzeczy tylko logiczną konsekwencją położenia jakie się wytworzyło...

Oczywiście — ciągnął po krótkiej przerwie, podczas której słoził herbatę — wojna nie jest jedynym środkiem zbawczym. Prawu, że ludzie muszą poświęcać wielką część pracy na coś co nie jest zaspokojeniem ich spozycia, można, rzecz jasna, czynić zadość inaczej, nie tylko tak, jak świat to robi dzisiaj. Średniowieczni na przykład, późniejsze w szczególności, wołalo budować katedry. Budowało je też w ilości i w rozmiarach, znacznie przekraczających praktyczne potrzeby kultu. Wykuwało ku ich ozdobie rzeźby tysiącnie, częstokroć umieszczone na wieżycy lub u sklepienia, tylko na chwałę Bożą, bo na tej wysokości nigdy ich wzrok, najbardziej bystry, nie dostrzeże... A wzięwszy pod uwagę ówczesne trudności techniczne, zarówno transportu jak konstrukcji, śmiało możemy twierdzić, że zabudowanie Europy setkami owych kamiennych kolośów, żądalo od pokoleń tamtych wysiłku nie mniej totalnego, niż dzisiaj wojna totalna od nas.

Pamięta pan — nagle zwrócił się do mnie — polemieć jaka w swoim czasie toczyła się między prasą niemiecką i angielską na temat: masło czy armaty? Przypomina mi to pewien szczegół historyczny, nader wymowny. Fryz katedrze w Rowen wieża najspanialsza, jakby sołami pokryta kamiennym ornamentem, nazywa się "Tour de Beurre," gdyż pobożni Normandczycy, aby zgromadzić pieniądze na jej budowę, przez kilka generacji wyrzekali się masła, jakim poprzednio krasni ramny posiłek. Tak, tak, kochany panie, życie ludzkości wtedy tylko może być wolne od bezrobocia i kryzysów, gdy zadania niegospodarcze rozrosną się w nim tak bardzo, że chcąc im sprostać, trzeba nawet ścieśniać konsumpcję. Nie ludzmy się: W wyrobie masła, choćby najsmaczniejszego, nie znajdzie ujścia cała aktywność jaką musi rozwijać ród człowieczy. Ludzkość nie może uciec od swego losu: musi albo budować katedry, albo je burzyć...

✱

Nie jestem ekonomistą i nie starałem się zgłębić, w czym tkwi błąd metodyczny teoryj głuszonych przez dziwaka. Ale wracając oden, w ciemny wieczór londyński, myślałem o trwałości egipskiego państwa faraonów, i znowu mi w oczach stanął ów ponadludzki wysiłek w celu — niegospodarczym! — budowy grobowców-piramid... A kiedy niespodzianie wycierci mi się w uszy ostry jej syren, zwiastujących atak lotniczy, wydało mi się, nagie, że wywody dziwaka nie były jednak całkowicie sensu pozbawione. Człowiek uszak nie jest zwierzęciem jedynie, któremu tyle właśnie energii jest dane, ile mu trzeba dla zapewnienia sobie odpowiedniego legowiska i żeru. Nadmiar swej aktywności, jeśli jej nie obróci ku użyzynom, ponadczłowiecznym celom, musi zużyć nakomic na budowę bombowców dla niszczenia własnych swych domostw i warsztatów...

W. S.

J. R.

JÓZEF MIŁOBEDZKI

SKARGA

Sięgam, gdzie wzrok nie sięga

Po masło —

i naftę —

i skrzydła,

Po wiecznej mądrości owoc.

Wolam "światła!" i do światła dolece.

A przede mną puste świecę świecidla.

Oto wżem pragnień oplecion

Wieszam miecz nad uszną głową

Placzącym dzieciom.

Nie prosiłem Cię o latające fortece.

THE COMMON CAUSE

FORTNIGHTLY OF THE POLISH SECTION OF THE "SWORD OF THE SPIRIT"

EDITORIAL OFFICE: 27 GROSVENOR STREET, LONDON, W.1.

Telephone: MAY 2925

Vol. II No. 23

SUNDAY, NOVEMBER 28th, 1943

Price 3d.

MGR. ALBAN ATKINS, V.G.

PEACE IS TRANQUILLITY IN ORDER

IN THE MIDST OF THE HORRORS of war, it is good indeed to have time and opportunity to assist at Holy Mass. Things have not become so bad for us that we have been prevented from freely exercising our religious liberties. For this we thank God directly for His providence and indirectly for the courage and determination of our soldiers, sailors and airmen, and the men of the allied nations working with us.

But this thought of our religious freedom reminds us on this occasion of the incredibly sad condition of a Catholic nation which is represented with us at the Holy Sacrifice by no less a person than its constitutional head, His Excellency the President of the Polish Republic. We take the occasion to renew our prayers and our loyalties, bound together as we are by the faith and the practice of our holy religion. Foremost among our petitions to the Divine Majesty of God today must be a fervent prayer that soon that dear land of Poland may be delivered from the appalling miseries that have come upon it.

Our Holy Father the Pope and his venerable predecessor have stressed and emphasised during this blight that has affected the nations both the causes and the right remedies to put an effective end to it, to secure for all and for all time a just and lasting peace. But what Pius XII has said has been no more or less than what the Church of God has said for 2,000 years. The vital phrase, the key expression in understanding the meaning of freedom from war is that "true peace is tranquillity in order, that peace is the fruit of justice and charity." There will be no true peace upon earth (except in the hearts of men of good will where there is always peace) until the clear, simple meaning of these words is both understood and applied to human affairs—charity, justice, order.

Justice is essential: while there is injustice, while the rights and privileges of even the smallest body of individuals are ignored, the seeds of war are being sown. While there is even one class of men strong enough and had enough to assert their selfishness, justice is violated and war is possible. Justice, the proper recognition of the rights of all nations and classes and communities, must be established and safeguarded and re-set up, as a first condition of abiding peace. It is doubtless in the hearts of all of us today to hope and pray and work that the fair Polish nation be among the first to be reinstated in its just entirety to its pristine position of dignity among the nations of the world.

But even a just man can be a hard man. Common life with its inequalities and unavoidable misfortunes demands something more than the practice of justice; there must be charity. There must be some moral force demanding benevolence in the hearts of men whereby they will be induced to abandon the law of the jungle in international commerce, the law of claws and talons, of the survival of the fittest, an unworthy condition into which we are temporarily forced in this present struggle: I say to abandon it in days of peace, and to be led rather for higher reasons than greed and so-called expediency to offer to all men of whatever clime and creed and race a fair chance to follow out their lives in accordance with their peaceful traditions and true national character. The absence of Christian charity, together with a marked deficiency of right reason in the minds of would-be rulers of the world is the one basic cause of this world-wide conflict. But both justice and charity must be in the order of virtue, that is to say they must be moral qualities the pursuit of which has some echo in God's high heaven: they must at least be human qualities supernaturally blessed by God's grace, in some way referable to the glory of God, if they are to stand the strain of human error, and disappoint-

ment and mere human weakness. Almighty God, the maker of us all, our beginning and last end, must be our final inspiration in our correct dealings with each other. The fruit of justice and charity is peace provided Almighty God too is glorified by the exercise of these qualities.

Peace has been defined as tranquillity in order. We do not need to envisage an international society to secure peace. We are an international society: we are common stock; by God's will we exist equally for the same purpose, we have a common aim and end in God's glory and our own

eternal happiness in Him. Our rights and duties are the same because they spring not from our wealth or culture or history, but from our dignity as human beings, fashioned to the image of God whose children we are. This is our only true claim to be great, as it is our only true claim to be sane and happy; this is our only permanent right to exist; this is our glorious inheritance, to be the sons and heirs of God. We do not need to apologise for the necessity of order because we are by God's will one family living together. We have to learn to respect each others' duties and rights and

privileges, and when the nations preserve right order between themselves only then will order preserve them; and peace is tranquillity in order.

This, then, is a moral matter, a matter of correct mental disposition. There are no master-folk, nor even is might necessarily right. Right is a moral matter, not a matter of brute force unless we are talking of irrational animals. Therefore we have need of a moral code of conduct in all matters that touch the international life of man, as in his national and private life. And that code must surely be the code laid down by Jesus Christ, the

founder of Christianity and our Divine Saviour. Talk to the contrary is sheer nonsense, and indeed criminal nonsense when we know only too well that the continued neglect of Christian principle in international matters will certainly lead in due time to a world war of even worse proportions than the present conflict. Pray, then, today for suffering Poland. Pray, too, for our leaders that the grace of God may enlighten their minds and give Christian strength to their hearts to establish on earth the peace of Christ in the kingdom of Christ, that is in the hearts of all men.

J. A. Ż.

NOVEMBER

TWO OF THE FINEST PIECES OF POLISH literature are connected with this month. In the history of our nation, condemned to fight for its freedom for the last 150 years, every

The whole art of Rzewuski consists in this, that he portrays the Spartan, martial, and deeply religious little world centring round Slonim and Minsk with as enchanting a brush as its oppo-



The Royal Palace of Łazienki in Warsaw, built in the eighteenth century by King Stanislas August.

On the back page: A typical eighteenth century manor in Eastern Poland.

literary work has played a far greater role than it would have done in other countries. Writers hardly ever began their works in a spirit of "art for art's sake," and in these diverse melodies there always recur, as the principal motif or the most significant accompaniment, meditations about the nation's common fate and its tragic complications. Thus a great Saga has been built up, told by different prose-writers and poets, and as a result the Poles have not lost contact with their country even today in exile. We do not tread our native soil, we have no homes of our own, although we are still fighting stubbornly for these very things; we have, however, something which endures longer than ruins, exile and death, something which might survive even our annihilation. These tales awake us in wonder and meditation in turn, and in all our experiences begin to shine before us with a different and astonishing brilliance.

Henryk Rzewuski's novel "November" could best be compared in English literature to Thackeray's "History of Henry Esmond." It is superior to the average historical novel in that the author writes of events which were for him fresh, almost of yesterday, and puts into his descriptions many of the fundamental traits of our national character. What strikes one most of all in this book? It is that custom and the human aspect, or individualism and character, played with the Poles a far greater part than the material acquisitions of solid construction of earthly things so visible in other nations. In this agricultural and patriarchal structure luxury and especially foreign luxury seemed the greatest enemy. It was not to be found in the castle of the greatest lord of the province, Prince Charles Radziwill of Nieswiez, nor in the manor of the prosperous noble, nor among the great thrones of free citizens who benefited from very abundant neighbourly and political relations even at a great distance from the capital. Towards the end of the eighteenth century in Poland there existed in the country and especially in the eastern marches an archaic self-sufficiency which appeared to progressive people and politicians from the great world to border on the barbaric.

site, the world of Warsaw, with its French influences and classical appearance. One has the freshness of the great forests and is inexhaustible in the abundance of its vigour and disinterestedness, while the second has art, elegance and often worldly wisdom. Let us imagine the older world in grey and faded colours, like the house of General Kunicki, and the second all a-glittering with embroidered costumes and gilt panelling modelled on the apartments of Louis XV at Versailles. Both these worlds, seemingly contradictory but in reality constantly and closely united, form the essence of Polish culture. Rzewuski brought into his story episodes from the time of the Confederacy of Bar of 1768, of the first struggle for independence against Russia. Writing after the November rising, he expresses the conviction that this month is unlucky for the Poles.

The play by Wyspianski concerns the first and possibly the decisive night of the rising of November 29th, 1830. It is about an unexploited possibility, about that one moment which cannot be recaptured once it is allowed to pass. Wyspianski had a kind of imagination approaching psychic susceptibility. The world of spirits and apparitions was closer to him than to other writers. Hence his uncommon ability to create allegorical figures and to reveal the unconscious states of the soul. In this way he made the divine mythological world come alive again, and wove the history of Tron and the Hellenic pantheon into the history of Poland and her nature. The first scene shows an empty corridor in the Cadets' School in Warsaw, the centre of the conspirators, young Wssocki and his cadet-pupils. The goddess Pallas Athene descends, and behind her with a rustling of wings fly the Victories of Salamis and Marathon, the Victory of the recent Napoleonic era, and lastly the Victory of Chaeronea, the protectress of the soldiers of a defeated cause. She speaks:

"My sisters,
The bitter tempest has dried the blood
that was shed,
And a white hoar-frost is falling,
There are no laurels and the roses are
withered."

Her words sound the two notes of heroism and grief, for she has seen "Maciejowice and our fallen brethren stabbed to death." She cries:

"Let my sons die,
An end to shame, horror and envy."

And later:

"Thus I will go to Death,
I will see them yet again in their
blood."

And to Pallas:

"Once more let me rise
To lay a bed for the fallen."

At the same time, in the Łazienki Park, where stands the Royal Palace, "the empty seat," the "home of Poland's last Augustus, built with the art of the Greeks," the young conspirators wait for the signal to break in upon the Grand Duke Constantine, who lives nearby in the Belvedere Palace.

In the moonlight, amongst the old trees, "the tempest blows with a roar—the garden rustles," while the young heroes wait and "halt in painful meditation," a mystery is played out before their eyes, as in the days of the Eleusinian Mysteries, the farewell of Life and Death, the goddesses Demeter and Persephone. The one goes and the other grieves, and in a melodious dialogue, under the rays of the moon which pierce the clouds of the autumnal night, they symbolize the sacrifice which is vain only in seeming, of the grain which is thrown into the earth. The goddess Persephone, appearing once again in another scene, speaks these dramatic lines:

"Behold the ages give life as they pass,
The ages and years which are to come
Will live from this seed.
The earth will give birth
Where the good seed falls,
People will awake, and will issue a
proclamation

To life—new life!
I will leave the coming generations the
deeds
Of their great fathers—great sons will
be reborn."

The main motif of Rzewuski's novel is the need for constancy and endurance. Religious feeling, simplicity of habits and patriarchal ways can seem to some like the "straw covers which protect the bushes in cold weather," like a long winter in the expectation of spring. Yet for a whole century people turned back to these things which lay close to the earth, and it was here that patriotism lay concealed, like grain flung into the fields. From here also poetry constantly sprang forth anew, as Wyspianski says in the lines:

"A harp plays in the trees,
And the park moans with a multitude
of phantoms."

Wyspianski's play is again an appeal to action. It presents the moment of enthusiasm which, if taken in good time, would attain its end. A young officer goes to the house of Lelewel, the historian and politician, with news of the rising. The old man does not permit himself to be stirred:

"You will not find Pallas with me,
You will not find hope with me.
Through the fire of my thoughts
Stole a shadow from Chaeronea,
Therefore I am afraid and pale."

One of the principal figures of the play is the Grand Duke Constantine, brother of Tsar Nicholas I, his Viceroy in Warsaw and Commander of the Polish Army. He was an unbalanced and infinitely violent man who, although married to a Polish woman, went so constantly in suspicion of his Polish surroundings that he employed a set of wretched spies and denouncers. He even played the part of agent provocateur, against his will. Hopes of coming to an understanding with Russia were so strong in Polish politicians and generals that they let him go together with his Russian regiments, without a struggle and on parole. This was not the first nor the last attempt at agreement. They all in turn failed to give results, for the Polish nation never ceased its efforts to be independent, and with its opponents, whether Russian or German, brute force finally always came to the fore.

HILAIRE BELLOC ON POLAND

THE CATHOLIC PAPER "WEEKLY Review" reprints in its last issue the article "The Test is Poland," written in the early days of the war by Hilaire Belloc:

"The phrase which stands as the title of this leading article is one that I have used myself over my own signature more than once, as have my colleagues. It is the most obvious and important of all political truths connected with the present struggle. It is also the one most difficult for the public in this country to appreciate. If the Allies succeed in restoring a free and strong Poland with full access to the sea through ports attached to the Polish State they have won the war. If, through misunderstanding the problem, they accept a peace of any kind, no matter how complete in appearance, which still leaves the fate of Poland undecided, the Allies have certainly lost the war.

"A free and sufficiently independent Polish

State is the condition of civilized Western influence in Central Europe. It is the necessary counter-balance to the Prussian spirit, which will endure east of the Elbe even if it be exorcised from the rest of the Germans. The first partition of Poland was the beginning of all our troubles. It put barbarism back into Christendom; it admitted, for the first time in our history, without shame and without reason, the brutal denial of international law and of a Christian nation's right to live. The two villains of the piece were exactly what they are today. . . .

"If history were taught among us, if our governing class were given in youth some general idea of what Europe is, of how Europe arose and how Europe may die, or were even made to understand that England is a province of Christendom and of Europe, and that, with the failure of the West, England quite certainly goes under, the essential importance of Poland at this moment would be grasped by those who conduct our destinies."

1 We are publishing the text of the sermon, preached by Mr. Alban Atkins, Vicar General of the Archdiocese of Liverpool, during the Solemn Mass said in the Liverpool Pro-Cathedral in the presence of the President of the Polish Republic, H.E. Wladyslaw Raczkiewicz.

ANTONI PLUTYŃSKI

MARY AND MARTHA

(FROM "OUTLINES FOR A SOCIAL STRUCTURE")

DESPITE THE CLASH OF ARMS, serious writers have not for a moment ceased to express their anxiety for the future of the democratic and representative structure in general, and in spite of the power which the western democracies have developed in this war we all feel that reforms, and considerable reforms, are essential. There is no one who would be bold enough to say that the pre-war governments of Britain or France were distinguished by their gift of foresight or preparation for all emergencies.

The western democracies possessed all the resources necessary to prevent a world war of conquest, or to prepare themselves to be able to extinguish it at the very outbreak. If we cannot postulate a lack of resources we must conclude either that the democratic nations lacked great leaders, a conclusion which would not tally with reality, in view of the existence of Roosevelts and Churchills, or that in democracy's very structure and way of functioning there are faults which bring about the position that it is not the most eminent which are given the occasion to govern and that the energy of the groups chosen to watch over the progress of public affairs is not absorbed primarily by the consideration of the public weal and security.

In my meditations on the future social structure I have drawn inspiration primarily from two sources.

One of these is an observation of humanity in the grievous strife of war. When the Few saved this island from invasion I stated in these pages that the destruction by democracy of small groups in favour of states and large parties, which happily has not yet been accomplished fully in the United Kingdom, threatens a dictatorship by bureaucracy, and that the future social structure must restore influence and respect for lesser relationships between the state and the citizen, who is helpless in the face of the former's vastness.

The second and perpetual source of inspiration is the Bible. One verse of Genesis (i, 27), "So God created man in His own image . . ." defines the rights and duties of man more powerfully and better than all the law libraries. Man created in the image of his Creator has the right and duty to be a creator, a creator of his own life and that of his children, a co-creator of the lesser associations and annals of the whole nation, and through the nation, of mankind.

The right to create on one's own and in conjunction with others is the highest and fundamental right and duty of man. That structure, and only that, is good which calls in the greatest number of its citizens to the conscious work of creation and assists, not curbs, their creativeness. The structure which breaks and deforms the creative will and character of the individual, which gives a man only an illusion of creating, bidding him repeat the thoughts of others like a parrot and carry out like an automaton the activities prescribed by the governing apparatus, will in the long run always be a bad structure, even though it may for a short time bring the general public riches or power, because it kills man's ability to create.

Democracy has for well over a hundred years been grinding its community down to sand, destroying lesser structures, and now is surprised that the sand trickles away or that dictators, having joined it together with the cement of police compulsion, are building with it forts of slavery for their own and other peoples.

Under the influences of my readings on the danger which menaces freedom from the side of technocracy, or groups which administer economic life, I would advise those who wish to deny the rights of men to direct the matters which they understand best, to read the parable of Mary and Martha.

All resistance to the control of the economic field of a nation's life by

specialists prepared for this by studies and experience of life is a retrogression. Is economic life to be administered by officials for the reason that they have flexible necks, or by officers because they have stars on their epaulets?

If the part played by anonymous capital in the administration of the great enterprises of the world is now shrinking in favour of specialist directors and no less specialist workers' groups, then such a limiting of the influence of capital in favour of knowledge and work is a highly positive symptom. Moreover it removes the menace of social revolution and also of the evolution of control of economic life by a dull and soulless state bureaucracy.

The point is elsewhere. Here we have the domain of Martha increasing in the house of the western nations at the cost of Mary's domain, and what will be the gain for mankind in that they possess the riches of the world, if they lose their own souls? The danger to our civilization does not lie in the fact that the question of one's daily bread is dealt with better and better on a global scale, but in the fact that spiritual matters are insufficiently organized, that wealth is defended strongly, and ideals only half heartedly.

This need must find form and expression in the future social structure. The dualism of our individual life, which is always partly spiritual, partly material, should be organized in the social sphere in the form of a dual structure, and its crown could be the two Houses of the future Parliament: the upper house would possess the legislative initiative in the realm of the spirit, culture and education, while the lower house would have the initiative in questions of national economy.

For our house to be happy Martha must co-operate and go in double harness with Mary. The harmonious inter-play of spiritual and economic creativeness within the constitution will give us an abundance of life.

Remarks

THE ECCENTRIC

I LIKE TO VISIT HIM FROM TIME to time. In his garret, in a little room, he always receives me very courteously, entertaining me with a cup of tea, which he brews at speed. He is, moreover, certainly a man of great knowledge, though on the other hand he is extraordinarily eccentric. Twenty years ago he was, everybody says, the most suitable candidate for the Chair of Political Economy at one of our oldest universities. He had, however, a tiresome habit, to which people took exception, and which was that at scientific congresses and conferences he would suddenly burst out laughing, when learned economists were expounding their theories in the most serious manner. . . .

A very short time ago I found him by himself, holding his sides with laughter as he read some learned treatise in the "Economic Quarterly."

"When do you think the war will be over?" I asked, for something to say.

My friend grew serious and spoke with consideration:

"I hope that never, or at least not before the world finds a method of assuring an at least partial economic balance, which war alone does at present. Is there a statesman to be found who will with a light heart exchange the present position, when every individual has an occupation, for a crisis in world economy and inevitable unemployment for millions?"

"Why unemployment?" I asked diffidently. "If communities will divert the sum total of energy and work which they are at present putting into the war, to the satisfying of their own consumers' needs. . . ."

There leapt into my friend's eyes the playful glint which had so scandalized sedate and respectable people.

"But you see," he said after a while, "that is actually quite impossible. For in order properly to meet the consumers' needs of everybody, it suffices that not all of mankind but only a certain percentage should work. Even reckoning with the fact that those needs will be artificially augmented by propaganda and advertisements, this speeding-up of

the pulse of the market, like that of blood under the influence of a drug, will never become a permanent feature. For let us suppose that finally every one will have his own car . . . (it is not sure, since luxury needs exists as long as they create a distinction, and when everyone has a car, many people may notice that they had less trouble with taxis or buses). Even when this happens, a lower production will be sufficient for replacing old machines than was necessary before, with the result that some of the workers in the automobile industry will be condemned to compulsory unemployment. And these workless people, living on the dole, will slowly begin to get rid of the cars which they had. . . ."

"But there is a happy exception," he added, looking into my eyes, "which is the armaments industry. Here one may say that consumption knows no limitation. It is also easy to understand that for a long time before the war the totalitarian states discovered this excellent means of assuring employment for all their citizens who had previously been unemployed. The outbreak of the world war and the transition to such an economy in the camp of the 'great democracies' also was in the main only the logical consequence of the situation which had been created. . . ."

"Obviously," he continued after a short pause during which he put sugar into his tea, "war is not the only salutary remedy. The law that men must devote a great part of their work to something which is not a satisfaction of their consumers' needs can clearly be met otherwise than by the method which the world used today. The Middle Ages, for instance, especially the late Middle Ages, preferred to build cathedrals. Furthermore they built them in numbers and dimensions considerably exceeding the practical requirements of worship. They ornamented them with thousands of pieces of statuary and sculpture, often placed on towers or vaulting, simply for the glory of God, since at such a height even the sharpest eye cannot see them. . . . And taking into account the technical difficulties of that time, both of transport and construction, we must admit that the construction of hundreds of these stone colossi in Europe demanded from the people of those times an effort no less total than that which today war at present exacts from us."

"Do you remember," he suddenly turned to me "the polemics which once went on between the German and British press on the subject of Guns or Butter? This reminds me of a certain historical detail, which is highly eloquent. The cathedral at Rouen has a magnificent tower, covered with stone ornamentation like stalactites, which is called 'Tour de Beurre,' because the pious Normans, in order to collect money for its construction, for several generations gave up the butter which they used to take at the morning meal. Yes, my friend, human life can only be free from unemployment and crises when non-economic tasks develop in it to such an extent that people must even lessen their consumption in order to keep pace with them. Let us not delude ourselves; the whole activity which the human race must develop will not find its outlet in the production of butter. Mankind cannot escape from its destiny: it must either build cathedrals or destroy them. . . ."

I am no economist, and I did not try to go deeply into the question wherein lies the fault of method in the theories put forward by my eccentric friend. But, returning from my visit to him, in the dark of a London evening, I thought of the stability of the Egypt of the Pharaohs, and again there passed before my eyes that superhuman endeavour with a non-economic end—the construction of those gigantic sepulchres, the Pyramids. . . . And when the ship *and of the sirens* proclaiming an air raid struck my ears it suddenly seemed to me that the arguments of the eccentric were not entirely without sense. Man is indeed not only an animal, to which only so much energy is given as it needs to assure itself food and a place to live. He must use his surplus energy finally in the building of bombers to destroy his own house and place of work, if he does not divert it to some higher, superhuman end. J. R.

PRINTING IN FOREIGN LANGUAGES

The printers of this magazine will be pleased to give quotations for all kinds of printed matter, English or Foreign.

LETCHWORTH PRINTERS LTD.
NORTON WAY NORTH, LETCHWORTH
Phone 1000 (two lines)

Printed by Letchworth Printers Ltd.,
Letchworth Garden City, Hertfordshire.

W. S.

BOLESŁAW PRUS IN MY MEMORIES OF NAŁĘCZÓW

IT BEGAN AT THE TIME WHEN my nose just reached the foot of the window if I stood on tiptoe. The good old days of Nałęczów; the villas; the holiday-makers scattered over hills, valleys and brinks of the gorges; the alley of lime trees near which stood a statue of St. Michael; the remains of an old entrance gate into the abode of the princes Malachowski; the big park and palace; the more recently built sanatorium by the lake; the canoes and the little island with its orchestra. Such is the picture of Nałęczów which rises—as if out of a Thames mist—while the name Bolesław Prus reverberates among the Poles in London.

Nałęczów of my childhood was linked with the names of the two greatest prose writers, along with Sienkiewicz, of contemporary Polish literature—that is Prus and Żeromski. For, although other great and specifically Polish names hurried against the old lime trees, these two were the greatest.

Żeromski was somewhat legendary. On visiting his log cabin one often found it empty; or, sometimes, Madam Octavia Żeromska and her son Adaś—said hero of his father's book "Memories of Adam Żeromski"—were staying there. Once Adaś spent a long time in bed in the cabin; he was in pain, as he often was, and being tenderly cared for by his mother, as he always was. So his little figure, his pleasing face with hair swept sideways, and his clear French accent of the Lycée Montaigne, were more familiar to the people at Nałęczów. Madam Octavia was always by her son's side and always disturbed about his health. Sometimes when I was wrestling with him on the lawn, and he re-reserved one champion and I another, Madame Żeromska leant over us like a referee, but it was rather to see that Adaś did no damage to his arm which had once been broken, than to watch for fouls. Of Mr. Stefan Żeromski, writer, one spoke much but saw little. At the sound of his name the old inhabitants shuddered, and hissed through their teeth "socialist."

Bolesław Prus, that is Mr. Alexander Glowacki, was, on the contrary, a reality in Nałęczów; a reality of flesh and bone, a popular figure with hands clasped behind his back, and head inclined slightly to one side. He was greeted with respect by each inhabitant of the little watering place. A beggar, on seeing him approach, chanted with greater clarity his supplication; every child, peasant

or other, gave him a curtsy or salute. Prus loved children and willingly spent much of his time with them. In return, of course, they adored him. There may have been some secret, although innocent, materialism in this youthful sentiment; for, after the first few words of a conversation there habitually appeared from Mr. Glowacki's pocket a small brightly coloured paper-bag of sweets. If, by any chance, the pocket was empty, life became even more sensational. One went to the wine and colonial goods shop of Mr. Wojcicki, who kept a fine stock of boiled sweets as a sideline.

"Well, Mr. Wojcicki," said Prus, introducing a five-year-old, "here we are!"

The merchant smiled rather sheepishly under his huge moustache.

"Here we are," continued Prus, "you surely haven't forgotten that you mean to give us half a pound of boiled sweets. . . ."

Half a pound! A mass of boiled sweets such as none of us could possibly buy on our own. Mr. Wojcicki proceeded to wield the big shovel and pretend that he remembered, yes, in fact. . . . But he was a bad actor that old merchant.

"Hum, Mr. Glowacki," I used to remark, after the manner of a cunning old fox, "we know your ways. It's you who fixes all this."

Mr. Glowacki did not protest, but added in a conciliatory tone. "All right, all right—so long as you don't get a pain in your tummy. Leave a few for Hania. How is Hania by the way? What is she doing?"

"She's learning French," I explained.

"And you? Aren't you learning it, too?"

"Not yet."

"What are you learning then?"

"Addition."

"Well what does twelve and eighteen make?"

My old fox voice came back. "There aren't such big sums in addition. But you can add six and six and it makes twelve."

"Uh-huh," said Prus in mild astonishment. "Yes, I see. But still you know. . . ."

After a lengthy conversation, in which both parties used the most weighty arguments, it was proved that one could add twelve and eighteen.

This gravity in conversation was one of the reasons why children were fond of Prus.

Mr. Glowacki lived within the precincts of that big villa under the sign of the Holy Virgin, which was almost opposite to us in the avenue of limes. The little cottage in the grounds had been rented by him for many years.

When our garden gate squeaked, Mars the hound barked, and Mr. Glowacki appeared on the veranda. I felt the approach of an exciting moment.

"Madam Helena! Will you lend me this boy for an hour or two? We have a lot of things to discuss."

Then began a long walk, during which Mr. Glowacki told many interesting stories. And I? . . . I confessed the sins of childhood.

But I remember once when Prus was different. My father had arrived from Warsaw for a few days and Mr. Glowacki came in after supper. It was a fine evening and the two men went out to the garden. They paced round the big flower-bed, talking. On listening to the voices I heard in them a queer tone of excitement. Regularly every few minutes there was the word "Russia." Unobserved on the veranda I listened for a long time, and tried to grasp what it was all about. But unsuccessfully, it was too difficult. So, pushing my head gingerly indoors I asked, "What are they talking about so queerly?"

My mother was seated in an armchair. She was unpicking a seam with almost alarmingly ardent and sweeping movements of her pen-knife.

"Politics," she answered in a low voice, more to herself than to me. I wanted to ask what "politics" meant, but looking at me with severity she continued, "What are you doing here? Why aren't you in bed? Off you go immediately."

I did not learn that evening the meaning of the word, but concluded that with this "politics" and this "Russia" there was no joking.

Some years later, the last I believe of Prus' summers at Nałęczów, the villa under the Holy Virgin was sold. It was sold to a wealthy man who surrounded it with a high and solid white fence, slippery as a wall. So it was no longer possible to climb the little blue fence and look at the pond, full of tortoises. All that could be seen was the lightning conductor which was to protect the rich man's head from the wrath of the heavens.

Prus, unwilling to stay there any more, removed to a neighbouring house, and went even more frequently for walks, on

which I still kept him company. It seems that by this time I knew what "politics" meant. I had even heard that Mr. Glowacki was now the guardian of a small boy who had been saved from orthodoxy and consequently from russification. I was beginning to understand that the Russia of that evening's conversation in our garden, threatened us; while hiding timidly behind orthodoxy and slavism she pushed on. The little "revolutionary" who had not become Russian in spite of the authorities, still wore white baby dresses edged with blue, and when he arrived in Nałęczów from Siberia he was one year old. Prus had tender feelings for him, this little boy who was the last child to pass more deeply through his life; the life which always sought for children's friendship. Yes, I certainly knew by then what politics meant, and I knew that a Pole begins fairly young to have something to do with this subject. But Mr. Glowacki also now spoke to me of less personal things, of the peasants, of the popular school, of the material conditions of peasant life. The meaning of the word politics widened and stretched until it became universal.

Some years after Mr. Glowacki's death, we acted a play by Fredro in the palace at Nałęczów. The national costumes of the old Polish nobility had to be brought from the Lublin theatre, because the amateurs insisted that the shades of the past must appear in noble dress on a stage in Prince Malachowski's palace. The poster was painted by a young engineer, Tony the positivist, who had just got his second foreign degree. He enthusiastically painted into the poster a building of Lublin stone, the public baths which had been built for the peasants and named after Bolesław Prus. This establishment was to have the proceeds from the entertainment. Tony the positivist is now a person of riper years, living abroad on the sale of his own paintings. Prus' shadow has been cast between Poland of the nobility, presented in Fredro's comedy, and modern Poland, in which the masses were beginning to have necessary comforts. Yet Tony, whose hair by now is greying, waits in some foreign street, selling his pictures. He waits for the squaring up of other problems.

"The word politics, Mr. Glowacki, is ever present, ever worrying and ever richer in new content."